Lwów, 7. Czerwca. №67. Rok 1855.

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Zł. 20kr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedział ce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

UCZONY.

Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

II.

NIESZCZĘŚCIE NA GŁADKIEJ PODŁODZE.

(Ciąg dalszy.)

Tak nagła zmiana całej Berka postaci przywiodła mu na myśl ową oryentalną bajkę, „ze stu nocy i jednej“ w której wielki Wezyr, zanurzywszy głowę do wanny, przebywa koleje życia dwuletniego, podczas gdy stojący w koło niego widzą tylko, że głowę w wodzie zanurzył i znowu ją podniósł. Wezyr jednak był tego przekonania, że przez dwa lata jeździł po świecie, a nawet opowiadał zdumionym szczegóły różnych swoich losów. Jurysta musiał całą przytomność swego umysłu zebrać w kupę, aby niepostradać zmysłów, wierząc rzeczom, które przechodzą wszelkie siły i prawa przyrodzone.

Spojrzał z litością na biednego antykwaryuszya, sprawcę dzisiejszego nieszczęścia, a zrównawszy się z nim, ruszył ulicą w kierunku, z kąd byli przyszli do tej kamienicy oczarowanej.

Ze względu na drażliwość kwestyi, nie wspomniał żaden z nich o przebytem nieszczęściu, i szli obok siebie w tak uporczywem milczeniu, jakoby nie znając się, nie mieli między sobą o niczem do mówienia.

Berek po raz stokrotny zastanawiał się nad tem, jakim sposobem, przy całej swojej znanej powadze, mógł się dopuścić takiej nieprzyzwoitości; jakim sposobem stojąc od lat sześćdziesięciu na tych samych nogach, mogły go one dzisiaj zawieść i do takiej kalumnii przyprowadzić; dla czego miała go koniecznie w tym czasie i w tem miejscu opanować nieszczęśliwa myśl nowatora i bezbożna chęć przetworzenia w nowy kształt tego, co już przy stworzeniu otrzymało kształt sobie przynależny; po raz stokrotny wyrzucał sobie, dla czego dał się unieść tak daleko w swoim ferworze przysłużenia się biednemu juryście, od którego w nagrodę prócz serdeczngo ściśnienia ręki dostałby może tylko najskromniejszy bilet bankowy?... Ale wszystkie te roztrząsania jego skwaszonego rozumu były bezowocne, i tem tylko mogły go ukoić, że ofiarą swojej powagi wypełnił był czyn dobry, i że ten, któremu takowy dostał się w udziele, jest tego godzien ze wszech względów.

Tak wyrozumowawszy sobie, westchnął przyjaciel starozakonny, a doszedłszy do Zarwanicy, podał milczącemu również młodzieńcowi rękę, i wmieszał się w tłum współwyznawców.—

Nie mniej skwaszony szedł dalej Halickiem nasz biedny jurysta, a ktoby go nieznał, przysiągłby, że jest gluchoniemym. Jego postać dosyć rubaszna, odziana surdutem kroju przedpotowego, jego kapelusz pogięty i połamany, buty, z których sam Cuvier nie mógłby odrysować kształtów nogi człowieczej, i dziwnie namiętne ruchy, bez względu na otaczającą go publiczność wykonywane — wszystko to czyniło go śród przechodzących znacznym i oryginalnym, i nie jedna twarz, nie jeden kapelusik zwrócił się za nim z uśmiechem szyderstwa lub podziwienia. Lecz ci, którzy go twarzą w twarz ujrzeli, zdziwili się mimowolnie nad dziwnym połyskiem pięknych jego oczu, widząc oraz jakiś blask nadziemski, który jasnem przezroczem oblał wyraziste rysy jego twarzy płomieniejącej.

Dziwna bo jakaś sprzeczność panowała w ułożeniu tego młodzieńca. Zewnętrzne jego kształty miały na sobie coś odrażającego, coś wpółrozwiniętego, podczas gdy twarz jego i cała ta głowa przedstawiala typ wykończenia i prawdziwej piękności. A chociaż na pierwszy rzut oka budził uczucie śmieszności, jednak to zamilkło i zamieniło się na przychylność i szacunek, jeźli przed okiem duszy mógł odsłonić skarby swojego wnętrza i jeżeli takowe mogły być zrozumiane i ocenione należycie.

Powodu takiej dwoistości jego istoty należy szukać w dziejach rozwoju tak umysłu jak i ciała. Że go dzisiaj ujrzeliśmy śmiesznym przez przypadek, a drobnostkowym i niepraktycznym w rozmowie ze swoim przyjacielem, jest to zwykłym skutkiem każdego jednostronnego wykształcenia.

Więc jurysta szedł i machał rękami najniezgrabniej, gdy tym czasem w jego rozognionej wyobraźni tłoczyły się jak najpiękniejsze barwy i kształty, spotęgowane do uroku ideałów i cudów nadprzyrodzonych.

Po odejściu izraelity opanowało go jakieś błogie, nieokreślone przeczucie, które mu potrosze, jednak bez cierpkości przypominało ową altankę z chmielu, niebędąc wszakże ani tejże wspomnieniem, ani ponowieniem czegoś po-

dobnego. Wszystko to odbywało się na temat nader pojedyńczy. Śmiech, chichot, niekompletna konjugacya słowa: *amo*, do tego ogród jezuicki i okno szklanne we drzwiach z zieloną zasłoną, a w niem pół twarzy i jedno czarne oko, otóż to cała waryacya tej przecudnej melodyi, która w nerwach biednego jurysty wiązała się w jeden, nierozdzielny akord choralny, a który powoli napawał jego serce, i zlewał się z życiem, żyć i czuć pragnącej duszy.

Zdawało mu się dotąd, że serce jego od czasów owej awanturniczej altanki z chmielu wyschło było jak zdrój stepowy śród skwarnej spieki, a dzisiaj czuł on w niem obok gorąca chłód przyjemny, który był podobny do chłodu letniego poranka. Czuł on dzisiaj we wszystkich swoich systematach, przyswojonych nauką i wyśnionych samorodnie jakąś lukę i czczość nieoznaczoną, i nadaremnie szukał wiążącego je ogniwa, które się rozprysło jak senna mara przed promieniem słońca. To jakaś rozkosz rajska, to trwoga śmiertelna, rozszerzała i ściskała mu serce, a nie mogąc tych uczuć pojąć i rozumieć wziął je za początek jakiejś choroby nerwowej, do czego przyczyniły się upadek i wstrząśnienie całego umysłu.

Przyszedłszy do swego dworku nad Pełtwią stanął obok statuy św. Floriana i z dziwną ironią poglądał długo na nurty Pełtwi, stał i dumał oparty o poręcz, aż go obudził głos powracającego z rannej przechadzki przyjaciela.

— Do jakiego wieku odnosisz ten starożytny pomnik sztuki krajowej Robercie, przemówił wytwornie ubrany Kazimierz, bijąc go szpicrutem po plecach, zdaje mnie się, że te linie podłużne, te na dół wijące się arabeski, mogłyby znamionować wiek Wita Stwosza, którego arcydzieło posiadamy w Krakowie...

Czarnowłosy młodzieniec spojrzał z wyrazem litości na wesołego towarzysza, i przestraszył go bladością lica i dziwnie rozpłomienionem okiem. Usta miał spiekłe i sine a gdy w odpowiedź słów kilka wymówić usiłował, głos jego wydawał się Kazimierzowi zmieniony nie do poznania. Wesoły i lekkomyślny blondynek miał jednak dobre serce. Stan towarzysza młodości zatrwożył go.

— Tyś chory Robercie, czy miałeś jaki wypadek?..

— Jestem chory, bez żadnego wiadomego powodu, odparł tenże...

Jakiś dziwny wstręt od swego towarzysza uczuł dzisiaj Robert rozmarzony, a chociaż podobny, sprzeczny prąd elektryczny często ich w życiu od siebie odpychał, wstrętne jednak dzisiejsze uczucie było takiej potęgi, że mimo wszelkich pozorów grzeczności, mimowolnie dał mu poznać, że przysługa jego tą razą staje mu się prawdziwie nieznośną.

Kazimierz jednak biorąc to za skutek rozdrażnienia nerwów, nieodstąpił póty towarzysza swojej młodości, póki tenże zupełnie się nie rozebrał, i do łóżka nie położył.

Wiedziony jakiemś uczuciem tajemniczem zamilczał Robert o całej swojej dobrej i złej przygodzie, a chociaż miał zwyczaj, jak każdy charakter otwarty, wyspowiadać się przed swoim towarzyszem z najdrobniejszych szczegółów jakiejbądź awantury, nie zdradził wyjątkowego tego zdarzenia. A co do lekcyi języka polskiego zaspokoił ciekawość przyjaciela tym rezultatem, że usiłowania Berka pomyślny wzięły skutek, że jutro swój nowy poczyna obowiązek.

Uczyniwszy zadość pietnastoletniej przyjaźni swego towarzysza i kolegi, naciągnął Kazimierz swieże rękawiczki i z swieżo zapalonem cygarem pokój opuścił.

W samotności przemarzył biedny jurysta dzień cały a posiliwszy się trochę rosołem, którego mu miłosierna sąsiadka udzieliła, zawarł powieki, chociaż te same obrazy co i na jawie widział i pieścił we śnie. A były to dziwne niestworzone obrazy, bez barwy i kształtu, a jednak było tam wszystkiego podostatkiem i barw tęczowych i kształtów różnorodnych, ale te stanowiły jeszcze chaos nieuporządkowane, nie było jeszcze ducha, któryby je mógł owionąć życiem harmonii, ani dłoni umniczej któraby mogła je upleść w bukiet, żyjący barwą, wonią i kształtem.

Lecz nie długo miała go dręczyć ta niepewność form i ciała, bo wschodzące pięknym, jesiennym porankiem słońce okazało mu te kształty, w które wcieliła się, odgadniona przeczuciem jego idea.

Wstawszy bowiem rano, uczuł się daleko zdrowszym i starym zwyczajem wziął się do zwykłych swoich zatrudnień. Tylko niemiał dzisiaj żadnych exerptów do przeczytania, ale natomiast tyle myślał i dumał że obojętny dotąd jego towarzysz uznał jego usposobienie za dziwne. Robert wcale się nietłumaczył, a przewracając kartki jakiegoś klasyka, niemógł widocznie powstrzymać swego niezadowolnienia z jego napuszonej poezyi. Formy te, które niegdyś tak pod niebo wynosił, nie wystarczały dzisiaj jego fantazyi, i wydawały mu się jak ciasne żelazne klatki menażeryi, w których zamknęli ludzie króla zwierząt i puszcz afrykańskich.

Tymczasem uderzyła godzina dziesiąta; obaj koledzy powstali razem aby wyjść, jeden do nowego swego obowiązku, drugi na rewanż do walki w kule — bilardowe.

Z bijącem sercem kroczył biedny jurysta po tych samych schodach kamiennych, do których wiązało się tyle jego wczorajszych przypomnień!..

W pobocznym saloniku ujrzał znajomą mu gospodynię domu, obok której siedziała panienka szesnastoletnia. Słysząc ciągle ten wczorajszy i przedwczorajszy śmiech pełen pustoty i niewinnej jakiejś rozpusty, spuścił młodzieniec przy powitaniu oczy w ziemię, aby nie ujrzeć tych ust koralowych, z których miały dla niego wyjść słowa słodyczy nieopisanej, lub ironii i śmiechu.

Lecz ani jedno ani drugie nie dało się słyszeć. Uczennica jego siedziała dzisiaj z taką powagą i uroczystością,

jakoby przystępowała do najważniejszego aktu w życiu swojem. A jeźli kiedy niekiedy wymknęło jej się z prawdziwie koralowych ust jakieś słówko kapryśne, to tylko dla tego, że nieznośny jej nauczyciel ani razu jeszcze na nią nie spojrzał.

Nauczyciel jej był właśnie dzisiaj przy jakiejś dziwnej fantazyi. Mówił on o literaturze, o języku ojczystym, o poezyi tyle pięknych, niestworzonych rzeczy, a mówił z takiem uczuciem i zapałem, że nawet szanowna gospodyni domu o swojej robótce zapomniała i na siebie rolę uczennicy przyjęła. Córka zaś podparła się drobną rączką na stoliku machoniowym, a pochyliwszy główkę zadumaną, wpatrzyła się w roziskrzone ciemnobłękitne oko mówiącego, ktore do pół czarną rzęsą pokryte i w ziemię patrzące, było wyrazem najwznioślejszej pokory ludzkiej, pomimo jasnego połysku myśli genialnych.

Wreszcie przypadkiem stało się, że stosownie do wtrąconej nawiasem w wykład humorystyki dziewczyna się roześmiała. Był to najprawdziwiej ten sam śmiech z ogrodu jezuickiego. Jurysta pobladł i mimowolnie podniósł oczy. —

Dziwny płomień przeleciał po jego licach, a bladość jego następna potrwożyła kobiety. A gdy jeszcze do tego w wykładzie nagle ustał, i mimo widocznego usiłowania dalej postąpić nie mógł, zapytały go się obiedwie o powód tak naglej słabości.

Odpowiedział otwarcie, że sądząc z niektórych oznak spodziewa się jakiejś choroby nerwowej, a przez co na kilka dni swoje lekcye zawiesić będzie musiał.

Z niewymuszonem, szczerem współczuciem pożegnały go matka i córka, a ostatnia wychyliła się jeszcze za drzwi, aby go widzieć schodzącego na dół.

Młodzieńcowi łzy puściły się z oczu, łzy które zdawało mu się, że wyschły na zawsze. A przecież gdyby nie tak żywe wspomnienie owej altanki z chmielu, byłyby mu te łzy nieopisaną słodyczą; dzisiaj jednak trwożyły go widma jakiejś ważnej w życiu przebytej katastrofy, która odnosząc się do najpierwszej jego młodości, pozostawiła w jego sercu ranę nieuleczoną. Dzisiaj przy zbiegu okoliczności rozwarła się ta rana szeroko, a chcąc jej ból ocenić, musimy się w powieści naszej cofnąć do lat pierwszej młodości naszego bohatera.

III.

PAŁAC I CHATKA.

Kto przed kilkunasty laty licząc od czasu rozpoczętej naszej powieści, na podnóżu gór karpackich podróżował, widział na jednej z pochyłości leśnej mały w nowszym smaku wybudowany pałacyk, którego szare ściany i niezwykła w tej okolicy kolumnada odbijały dziwnie od ubogich słomą nakrytych dworków szlacheckich, któremi gęsto zasianą była cała przestrzeń kotliny karpackiej.

Z całego urządzenia widać było że pan tego pałacyku albo jest dosyć zamożnym, albo używając dóbr tego świata, całe dochody swojej włości wkłada na powierzchowną ostentacyą, którą stara się wyrównać pierwszym kraju magnatom. To też ostatnie było prawdziwe, bo pan Kalasanty jako zwolennik nowszych gospodarstwa wyobrażeń, stawiał, lepił, bielił i malował dotąd, dopokąd w kieszeni ani grosza nie stało, dopokąd dłużnicy w tabuli liczbą swoich pretensyi nie przewyższyli liczby księgi ingrozyjnej, i dopokąd żaden starozakonny na weksel autentyczny niechciał dać złamanego szeląga.

Po utracie wszelkiego kredytu został jednak panu Kalasantemu pyszny pałacyk z kolumnadą jońskiego porządku, rozległy angielski park, chociaż potrosze już zaniedbany i pańskie, prawdziwie arystokratyczne maniery, które kwalifikowały go do wyborowego towarzystwa najpierwszych kraju rodzin. Stosownie do tych kolumnad, parku i niespożytych czasem manierów pańskich, urządził był pan Kalasanty cały wewnętrzny ruch swego donu, który wystawie zewnętrznej odpowiadał w sposób przyzwoity. Więc chociaż z czasem i nacisk sprężyny, czyli inaczej *nervus rerum gerendarum* zupełnie ustał, ruch jednak musiał być w tym samym sposobie prowadzony dalej, chociaż by ową przyrodzoną sprężynę zastąpił jaki inny mniej szlachetny wynalazek. Dotąd atoli wszelkie experymenta zawiodły, a chociaż ruch ten wewnątrz odbywał się jeszcze dawnym trybem, widocznie jedak z każdym dniem ubywało mu pierwotnej siły, a najpryncypalniejsze jego obroty wyrachowane były na złudzenie optyczne. Wszystko zatem miało ten pozór dawnego obyczaju, tylko w niektórych departamentach uproszczono stare nawyknienia, zacząwszy od homeopatycznego leczenia dzieci, aż do projektowanego oświetlenia salonu zastosowaniem hydrogengazu.

To uproszczenie naturalnego biegu rzeczy przeniosło się i w departament pedagogii, który dotąd składał się z nader poważnego *Lubego*, z rodu szwajcara, i z niemniej poważnej *Mademoiselle Innocente Decemmille*, szlachcianki francuskiej. Owoż pan *Labuś* wraz z szanowną swoją sąsiadką pobratymczą, widząc ustający bieg maszyny pańskiej, siedli pewnego poranka na dyliżans w miasteczku poblizkiem i pojechali w kierunku ku zachodowi słońca, w którym to kierunku ciągnie ptastwo przelotne przy pojawiających się przymrozkach jesiennych. Młody panicz i panienka zostali tym sposobem, jak latorośl bez podpory, jako młody wysadnik bez ogrodnika. Ubytek ten jednak zastąpiono bakałarzem krajowym, którym był pan Boreńko, pracowity syn i następca pobliskiego, zagonowego szlachcica.

Pan Kalasanty wymówił tylko sobie noszenie fraku i butów niełatanych, a gdy były goście, miał nasz krajowy instruktor obdzielać domowych przynależnemi, osobno ku

temu sporządzonemi tytułami. A że panicz sam do nauki nie miał chęci, obmyślano dla tego stosownie do istniejących zwyczajów wybrać z biednej młodzieży jakiego towarzysza, któryby ucząc się z nim razem, mógł mu oraz służyć za przykład wykonanej kary cielesnej.

Owoż gdy pan Boreńko między wszystkiemi pauprami całej okolicy nadaremnie się rozpatrywał, i nigdzie talentu obok poniżającej pokory, ani dowcipu i bystrości umysłu obok spodlonej służbistości nie znalazł, a których to przymiotów koniecznie w połączeniu szukał, wydarzył się mały wypadek, który naszemu bohaterowi na nieszczęście zgotował dzisiejsze jego stanowisko.

Bezpośrednio z parkiem angielskim, czy raczej z jego żywym płotem, graniczyła obdarta chata najbiedniejszego we wsi chałupnika. Aby jej widok z perspektywy gazonowej zasłonić jaką krzewiną, urządzono tak zwany płot żywy, i obwarowano go drugą linią jakiejś gęstej zagranicznej drzewiny.

To też chatka obdarta i pochylona podobna była do zlepki budnika w ostępie puszczy odwiecznej, odgraniczonej z drugiej strony piętrzącą się górą pokładu kamiennego.

Ustronie to wyglądało zawsze jak pustkowie. Oprócz jakiegoś małego czarnowłosego chłopięcia, które samo jedno po błotnistem i zagnojonem podwórzu się wałęsało, nie było tam nigdy widać żadnej istoty żyjącej. Chłopczyna miał w prawdzie ojca i matkę, ale ci niemając pola, musieli codziennie zarabiać na kawałek chleba, który biedny samotnik dostawał dopiero po zachodzie słońca. Od samego świtu aż do nocy zostawał mały chłopczyna sam jeden w tym dzikim ostępie dziedziny karpackiej, i prócz rodziców i dwóch sąsiadów, nie znał jak wygląda wieś, w której mieszkał, a tem mniej świat, na którym żył, jako jedynostka ludzkości, a może i dziejów!.. W cerkwi nigdy nie bywał, bo cerkwi we wsi nie było, a gdy brat jego starszy raz był chory, i tak chorego jakiś cudzy w długiej czarnej sukni odwiedził, i coś nad nim z książki przeczytał; a gdy według jego wyobrażenia, wskutek tych odwiedzin starszy brat oczy na wieki zamknął, czarnowłosy chłopczyna płakał gorżko, i narzekal, a o cudzym powziął najdziwniejsze myśli.

Gdy mu ojciec jednej niedzieli istotę modlitwy wytłumaczyć usiłował, chłopczyna kręcił głową i nie chciał wierzyć, ażeby modlitwa mogła mu przynieść jakieś korzyści, których dotąd wcale jeszcze nie był zażądał. Pomimo że dochodził lat siedmiu, jeszcze modlitwa nie powstała w jego ustach, lecz za to życie było ustawiczną modlitwą anioła.

Od dni niemowlęcych był on już skazany na tę samotność ponurą, a jeśli dzisiaj miał pewny zasób wyrazów i wyobrażeń ludzkich, to stało się po największej części tym samym cudem opieki boskiej, która lilie i róże, w samotności kwitnące, przyodziewa w kształty i barwy urocze.

Z początku płakał on dzień cały za piersią matki, a gdy ta stała się mu już niepotrzebną, płakał za chlebem który dotąd jedynym był ideałem jego żądz cielesnych, bo żadnego innego pożywienia ani przysmaku nie widział; potem płakał za cackiem, za zabawką, którą mu raz sąsiad, chrzestny ojciec, z odpustu był przyniósł: nakoniec płakał za czemsiś nieokreślonem, a na co nie miał słowa ani wyobrażenia, co go nieustannie rwało do jakiejś wyższej nieznanej mu krainy, do obcego mu świata.

Miał on już lat sześć, a tęsknota jego wzmagała się z latami. Znał już każdą gałązkę, która z pańskiego parku przychyliła się na ubogie podwórze; każdy listek, każda trawka miała u niego pewne imie i znaczenie; a gdy przeciągały wiatry jesienne, i zżółkłe liście upadały na ziemię, chłopczyna z początku zbierał je, i w przyrządzonej ku temu trumience w skaliste chował rozpadliny, jak to widział przy pogrzebie starszego brata. Lecz gdy co ranek mnożyło się liści pożółkłych i cała ziemia nakoniec niemi się pokryła, chłopczyna płakał spiewając jakąś fantastyczną melodyę pogrzebową, widząc że cały świat jego staje się jedną wielką trumną.

Przecież życie jego nie było tak jednostajne. Począwszy od pierwszych dni wiosny, przylatywały do niego różne chrząszcze i motyle, czasami zabłąkała się pszczółka, zahuczał bąk, lub zmrokiem zaświecił robaczek świętojański. Niezliczone postacie i barwy różnych robaczków zajmowały mu całe dnie, zanim je w pamięci swojej umieścił i uporządkował co było znanem, a co nieznanem. A cóż dopiero mówić o owych świegotliwych, różnopiórych ptaszkach które przylatywały w odwiedziny do małego pustelnika; z nim coś poszczebiotały, poswawoliły, coś zanóciły i gdzieś dalej odleciały niby bo swojej chatki! Wszystko to było dla niego tak przychylne, tak dobre, wszystko rozmawiało z nim jakąś mową dlań zrozumiałą, a na co on w odwet dawał odpowiedzi lub zapytania na pół głośne, jednak zawsze poufne jak do swoich przyjaciół.

(C. d. n.)

NOCNA JAZDA,

(z Heinego).

Z moją lubą płynę w łódce
Po jasnym krzysztale,
Noc tak cicha — nas samotnych
Niosą morskie fale.

Wyspa duchów od księżyca
Błyszczy się srebrzysta;
A tam dzwięczą lube głosy,
Pląsa mgła przejrzysta.

A tam dźwięczy coraz milej,
I mgła pląsa w bieli,
My samotni bez pociechy
Mimo przepłynęli.

Romuald K....

Najnowsze dzieła.

Kilka podań i wspomnień krakowskich.

Józefa Mączyńskiego.

Autor tej broszurki znany już nam jest z pracy sumiennej, jaką podjął zbierajac rozmaite pamiątki krakowskie z dawniejszych i teraźniejszych czasów. Z tych więc, które w dawniejszem dziele swojem, albo opuścił zupełnie, albo pobieżnie tylko dotknął, niektóre ciekawsze i mniej znane zebrał w tej broszurce, i zapewne dalej wydawać będzie, oświadcza bowiem w krótkiej przedmowie swojej: „że chcąc te wiadomości uratować od zapomnienia postanowił je częściowo ogłaszać drukiem.” I życzymy szczerze by temu postanowieniu został wierny, bo na niczem właśnie tyle nam nie zbywa, ile na chętnych spisywać własne lub cudze pamiątki, które jeszcze biegają po kraju naszym, przechodząc z ust do ust, przenosząc się od kominka do kominka, lub nieraz przylegają do jakiegoś w gruzy sypiącego się muru. Tradycje te są pełne uroku, ale cóż? kiedy te usta, które jeszcze rozpowiadają u nas, zamilknąć muszą na zawsze, a mury rozlecą się do reszty, rozerwane przez praktycznych sąsiadów, i te wszystkie nasze tradycyjne powiastki, w których się chowa nie jeden rys dziejowy i obyczajowy naszej przeszłości, przepadną niepowrotnie. A któż więcej od nas dbać powinien o zachowanie owych pamiątek i rysów przeszłości, których pielęgnowanie staranne jest najwybitniejszą cechą żywotności narodowej.

Dla tego najświętszym każdego obowiązkiem jest spisywać wszystkie tego rodzaju pamiątki, powiastki, tradycyje, gminne podania, jakie sam zna, lub gdzie usłyszał. I dla tego wielka i niezaprzeczona jest zasługa p. Mączyńskiego, że się podobnej pracy poświęca, ratując od zapomnienia resztki pamiątek, jakie błądzą jeszcze, gdyby duchy po kościołach i cmętarzach naszych starych grodów. W każdem najmniejszem miasteczku, przy najskromniejszym czasem kościółku wiejskim, u stóp figur świętych rozsypanych po kraju naszym, zdobyć można takie podania, które najczęściej lekkomyślnie odrzucamy dla tego, że swoją wiekową barwą nie przypadają do dzisiejszego smaku naszego, który dla tego ma się za coś lepszego, że porzucił zabobonną wiarę w cudowne pojawy opiekującej się nami opatrzności, aby uwierzyć ślepo w cuda własnego sprytu, i własnej kieszeni. Gdyby zatem w każdej miejscowości podobnej znaleźli się tacy spisywacze dawnych podań czy miejscowych, czy rodzinnych, jakim by to skarbem dla głów i serc naszych, dla naszych rozumowań i uczuć stały się podobne zbiory. Pamiętniki w narodzie, to jak czerstwa pamięć w człowieku!.. dowodzi silnego zdrowia, i wróży długie życie!.

Z tego to stanowiska zapatrujemy się na zbiorek nowy p. Mączyńskiego, i nadto go szczerze po rzetelnej oceniamy wartości, abyśmy chcieli być surowemi co do samego obrobienia lub też stylu, który mianowicie wiele zapewne do życzenia pozostawia. Dramatyczność w wykładzie i lekkość w stylu nie zaszkodzą żadnemu dziełu, lecz z drugiej strony lepiej spisywać choćby najsuszej co się tylko wie o przeszłości naszej, niżeli nie pisać zupełnie. Takiemi materjałami podsycana myśl narodowa rozbudzi wyobraźnię niejedną, która udramatyzuje suche zdarzenie, i żywym a potoczystym ozdobi stylem.

Wyjęliśmy jedną próbkę z tego zbioru o *Statuy Najś. Panny Maryi przed kościołem OO. Kapucynów w Krakowie*. Powiastka ta prosta i charakterystyczna dać może najlepsze wyobrażenie o całem dziełku, zawierającem dziewięć podobnych podań, z których każde najmniejsze ma swoją wartość, bo we wszystkich jest odbicie naszych pojęć i obyczajów narodowych. *Duchy na Krzemionkach*, *Podziemny zamek Krakowski*, *Stópka Królowej Jadwigi*, *Pamiątka po królowej Jadwidze w zamku Krakowskim*, są to króciutkie podania dające świadectwo o ludowej sprawiedliwości, pamiętającej sercem, co pamiętać jest warto. Prócz wyżej wspomnianej powiastki, jest jeszcze jedno dłuższe opowiadanie o *Widmie*, pokazującem się w pałacu Krzysztoforów, artystyczniej już obrobione, z dodatkiem opisu naiwnym stylem zrobionego, o tych cudownych pojawach przez szlachcica Mierzejewskiego, który poświadcza, że ta jakaś czarna kobieta pojawiła się w tymże pałacu biskupowi Sołtykowi, przyczem jest parę ciekawych rysów, o tym czcigodnym kapłanie i prawym obywatelu. Dwa ostatnie zdarzenia: *Cudowna obrona Krakowa w r. 1768*, i *Wąsy Króla Jana III.* zawierają parę pomniejszych, ale niemniej ciekawych rysów o konfederacyi Barskiej.

Potęga przemysłu.

II.

Sławne Doki londyńskie leżą między Dowrem i Blackwall. Są to jak wiadomo sztuczne sadzawki, przez przeciąg całej prawie mili niemieckiej ciągnące się, otoczone magazynami o pięciu do siedmiu piąter. W tych sadzawkach stoją okręta na kotwicy, a w magazynach jest skład najrozmaitszych towarów.

Najbliżej Dowru są Doki Katarzyny, które zajmują dwadzieścia trzy morgów ziemi, mogą pomieścić 120 okrętów; w magazynach zaś jest miejsce na dwa miliony 200,000 cetnarów. Kapitał obrotowy towarzystwa wynosi dwa miliony f. szt. Opierają się tu i o nie Doki londyńskie, których objętość wynosi przeszło sto morgów; w sadzawkach doń należących mieści się może pięćset okrętów, a w magazynach dwa miliony 600,000 cetnarów; a kapitał przechodzi cztery miliony f. szt. Dalej przychodzą zachodnio-indyjskie Doki, największe z kolei. Sadzawka wyglądająca jakby małe jezioro, zdoła pomieścić 400 największych okrętów; leży

na przestrzeni 295 morgów, mając magazyny zdolne pomieścić trzy miliony 600,000 cetnarów. Kapitał towarzystwa przenosi sześć milionów, i nieraz gdy się zjedzie na raz więcej okrętów zachodnio-indyjskich, z kosztownemi swemi towarami, te dochodzą do wartości 20 milionów funtów.

Ostatnie są Doki wschodnio-indyjskie, na przestrzeni 32 morgów, z magazynami na 300,000 cetnarów. Wziąwszy je razem, Doki londyńskie na przestrzeni 450 morgów angielskich, mają miejsce na 1200 okrętów i 10 milionów 600,000 cetnarów towarów.

Cyfry te wzbudzają podziw niepospolity, a przecież nie koniec na nich; na prawym bowiem Tamizy brzegu jest jeszcze trzy Doków podobnych.

Przejdźmy teraz jakie jest znaczenie tych Doków, jacy są ich właściciele, i w jakim je utworzono celu. Kto tylko odwidzi Londyn, niemoże potem dosyć nagadać się o tych niezliczonych masztach skupionych w Dokach razem, i o tej niezmierzonej ilości najrozmaitszych towarów w składach.

Doki są w Londynie dla każdego podróżnika, czem są w każdem niemal mieście jego największe osobliwości. Tak w Rzymie pielgrzymuje się koniecznie do ś. Piotra; w Berlinie do Potsdamu; w Wiedniu do Prateru; w Dreznie każdy odwiedzi naprzód galerję obrazów; a w Frankfurcie wody Homburgskie; w Paryżu zaś każdy ukształcony niemiec pobiegnie do Hajnego, a jeżeli przyjętym nie zostanie, to przynajmniej zapłacze na cmentarzu ojca La-Chaise, nad grobem Bernego. Ta tylko zachodzi różnica, że bez wielkiego zachodu, każdy rozumie, do czego służyć mogą wiedeński prater, drezdeńska galerja, lub niemiecki Hajne; ale nie każdy zda sobie sprawę z celu dla jakiego potworzono Doki w Londynie, choćby je sto razy przeszedł wzdłuż i wszerz, tem więcej że niema ich z czem porównać. Na to trzeba się poradzić albo anglika, albo jakiej książki angielskiej.

Posłuchajmy więc, co nam o tem powiedzą. Londyn jak wiadomo leży nad Tamizą, a Tamiza jest właściwie portem morskim Londynu, największe bowiem okręta przypływają aż do samego prawie środka miasta. Owoż na zachodnim krańcu tego portu stoi celna komora; trzeba bowiem wiedzieć, że jakkolwiek anglicy od r. 1846 wiele prawić lubią o usamowolnieniu handlu, zniżywszy przywozowe cło wielu przedmiotów, niemniej każą za bardzo wiele towarów płacić cło bardzo znaczne. Cła te odbierano dawniej przy komorze w sposób następujący. Skoro się statek jaki pokazał koło Grawesend, przybywało do niego dwóch albo trzech urzędników celnych, którzy już mu aż do samej komory towarzyszyli, aby zapobiedz przemycaniu nieopłaconych jeszcze towarów. Było to dobre dopóki handel londyński nie był tak rozszerzony jak jest dzisiaj, lecz teraz, kiedy nieraz przypłynie jednego dnia ze trzysta statków, nie tak to łatwo idzie bo oczywiście trzeba by je wszystkie przed komorę sprowadzić, i przejrzyć kolejno, w którym to razie żegluga na rzece samemi statkami byłaby zatamowana, a statki ostatnie, musiałyby całe tygodnie czekać, zanimby na nie kolej przyszła.

Aby temu zapobiedz powstały Doki, dzięki, jak to się najczęściej w Anglii duchowi przedsiębierczemu prywatnych stowarzyszeń. Rząd nie dał grosza na to, i tylko zajmuje się pobieraniem znacznych tax, jakie wedle podatkowych przepisów płacą mu te stowarzyszenia.

I teraz jak przed laty są strażnicy na obu brzegach Tamizy aż do Gravesend, i teraz przybywają do statku celni urzędnicy, i teraz wolno statkowi udać się wprost do komory, jeżeli musi być szybko wyexpediowanym, jak to się dzieje mianowicie z parowcami, wiozącymi podróżnych.

Ale niema na to przymusu, statek bowiem może udać się do jednego z Doków, i tam pozostać ze swymi nieopłaconymi towarami jak mu się długo podoba, czyli raczej jak długo mu to jest potrzebne. I ta to właśnie wolność pozostania dłuższy czas z nieopłaconemi towarami była głównym powodem powstania Doków. Przykład praktyczny wytłómaczy nam pożyteczność tego.

Dajmy nato że przybywa okręt z południowej Ameryki naładowany skórami. Sam ładunek przedstawia znaczną bardzo kwotę, a prócz tego wydatek cłowy wymaga znacznych pieniędzy gotowych. Lecz kto wie jak długo te skóry leżeć będą, zanim się na nie znajdzie kupiec, a nawet sam właściciel wolałby może pozostawić je dłużej w składzie, spodziewając się podniesienia ceny.

Gdyby towary odrazu opłacał, musiałby procent od wydanego na cło kapitału rozrzucić na towar swój, a przez to samo towar ten drożej przedać. Jeżeli zaś jego statek spokojnie spoczywa w Dokach, a ładunek na składzie, właściciel ma podwójną korzyść; niepotrzebuje najprzód kapitanowi statkowemu dawać gotowych pieniędzy na cło, i nie wydaje tego kapitału na miesięcy kilka bez procentu. Skóry jego leżą sobie wygodnie na składach; a tymczasem jego korespondent angielski, lub faktor przegląda towar, porządkuje go i przedaje, a kupujący opłaca cło wtenczas dopiero, gdy zabiera skóry z Doków.

Jest to jak każdy zrozumie niepospolite ułatwienie dla handlu, w czem rząd angielski postępuje zawsze z praktyczną konsekwencją.

Przemycanie nareszcie w takim razie na większy mianowicie rozmiar jest niepodobne. Doki i składy otoczone są wysokiemi murami; wąski tylko kanał łączy Tamizę z Dokami, a przy wszystkich wychodach porozstawiane są strażniki, i mają prawo każdego wychodzącego rewidować. Majtkowie prócz tego statków, w Dokach spoczywających podlegają ścisłym przepisom, i surowej karności; a gdy nawet któremu z nich udało się wynieść ukradkiem butelkę koniaku, funt herbaty, albo paczkę cygarów, nie może to stanowić tak wielkiej straty dla kanclerza skarbu.

Towarzystwa nakoniec, których kosztem powstały Doki, bardzo dobrze wychodzą, bo włożone kapitały przzynoszą im dobry procent, za pomocą opłat znacznych bardzo, jakie pobierają od statków i od towarów. (C. d. n.)

W sprawie Tygodnika Warszawskiego umieszczanego w Czasie.

(Ciąg dalszy,)

Drugi zarzut historyczny zrobiony Tomirze jest że za czasów Bolesława nie było już w Polsce pogaństwa. Czy też Szanowny krytyk czytał kiedy obszerniejsze opisanie tego, co się działo na naszej ziemi przez lat 25 po śmierci Bolesława Chrobrego, jak pogaństwo brać chciało przewagę nad chrześciaństwem, jak poniszczyło świątynie Pańskie, jak je dopiero Kazimierz I., nazwany odnowicielem poskromił, porządek wprowadził i Religią chrześciańską mocno zachwianą utwierdził?

Gdyby Autor Tygodnika cokolwiek się obeznał z pismami i krytyką historyczną, nigdyby Kazimierza Igo mnichem nie nazywał.

W dwunastym tegorocznym Tygodniku umieszczonym w 71. Nr. Czasu z d. 29. Marca, występując przeciw Autorowi dzieła: Uwagi nad Mateuszem herbu Cholewa, ma śmiałość twierdzić, że ten znakomity badacz, nieznając Marcina Galla, jeszcze jako uczeń Uniwersytetu, chciał utworzyć starszego kronikarza od Kadłubka i przypisał pierwsze księgi Kadłubkowe jakiemuś Mateuszowi herbu Cholewa, Biskupowi krakowskiemu, który ani mniéj ani więcej, był tylko gastronomem, że wszystkie dochody, podług świadectwa Długosza przejadł, a zatem że niemógł być dziejopisem. — Po ogromnych po zukiwaniach robionych co do Mateusza po Lelewelu przez Ossolińskiego, Bandtkiego i Gołębiowskiego, Maciejowskiego, Wiśniewskiego, Bielowskiego i wszystkich, którzy o literaturze i dziejach polskich pisali, niepodobna jednem słowem, jednem nic nieznaczącem przypuszczeniem, obalić przez wszystkich uczonych przyjęte mniemanie. Mateusz mogł być żarłokiem ale razem mógł znać z podań dzieje krajowe. Wieluż to dzisiaj za granicą znakomitych pisarzy, mających ogromne dochody, oddanych zbytkom i marnotrawstwu! Wszak i nasz stary Mikołaj Rej był warchołem i pijakiem, jak go właśni przyjaciele opisują, a przecież z chlubą wspominamy o jego postyli czyli wykładzie nauk ewangelicznych, o tłumaczeniu psalmów, o wizerunku żywota poczciwego człowieka, do pisania których więcej powściągliwości w życiu i skromności, a niżeli do opowiadania zdarzeń dziejowych potrzeba.

Nie przeczę, że pomimo powagi i znaczenia w literaturze tych, którzy przyjęli Lelewelowskie o kronice Mateusza twierdzenie, można go nie przyjąć i walczyć przeciw niemu; ale na to trzeba zbijać rzeczy racjami nie rogami, trzeba wystąpić z dowodami przeciw dowodom, z erudycyą przeciw eudycyi, trzeba ogromnej nauki i badania, niegodzi się gołem słowem pomiatać wszystkiemi badaczami dziejowemi, którzy niedojrzały płód ucznia Uniwersytetu jak utrzymuje Tygodnik, przyjęli i poparli. Tym czasem z całego wywodu Tygodnika pokazuje się, że jego autor, o broni potrzebnej do tej walki nie ma nawet wyobrażenia. Naprzód zarzut, że Lelewel pisał rozprawę swoją o Mateuszu, będąc uczniem Uniwersytetu, nie jest prawdą; bo pisarz ten już po odbytych naukach w Uniwersytecie Wileńskim napisał i ogłosił drukiem w r. 1807 Eddę, w r. 1808 o stosunkach i związkach Litewskich narodów z Herulami; w r. 1809 wzmiankę o najdawniejszych dziejopisach polskich a szczególniej o Kadłubku przeciwko Szlecerowi — nie mniej uwagi nad dziełem Bohusza o początku narodu i języka Litewskiego; dalej był professorem historyi w Gymnazyum Krzemienieckiem, pracował i robił długie i mozolne poszukiwania po znakomitych Bibliotekach, a mianowicie w najznakomitszej Tadeusza Czackiego w Porycku, przy któréj rok cały bawił. Powrócił nakoniec do Warszawy, i z tąd posłał swój rękopism: Uwagi nad Mateuszem i t. d. do Wilna, gdzie przez Zawadowskiego w r. 1811 wydrukowany został.

Zarzuca dalej Tygodnik temu badaczowi że nie wiedział o egzystencyi kronikarza Marcina Galla. Zarzut ten przekonywa, że dzieła krytykowanego nie widział wcale. Na początku dzieła w poczcie cytowanych Autorów zamieszczony jest Marcin Gallus, a w rozdziałach 44, 45, trzynaście z niego przytoczonych jest cytat. W pismie dawniejszem od Uwag nad Mateuszem Lelewela, t. j. wzmianka o dziejopisach polskich, kilkakroć Marcin jest wspomniany; pisał o nim obszerną rozprawę Tadeusz Czacki, umieszczoną w 1szym Tomie Pamiętnika Dmochowskiego z r. 1801, wielokrotnie odwoływał się do niego w dziele o polskich i litewskich prawach wydanych w r. 1800, Niemcewicz całą prawie osnowę 2. i 3. Tomu Dziejów narodu polskiego na podstawie Marcina Galla prostuje, ciągle się do jego powagi odwołując. Miałżeby sam jeden Lelewel o Marcinie nie wiedzieć? W takim razie musiałby nawet Niemcewicza i Czackiego nie czytać.

Na dcmiar niewiadomości swojej utrzymuje Tygodnik, że, „chociaż Gallus pisał swą kronikę 1110 roku, nie prędzej wszakże „ujrzeliśmy jej druk, jak dopiero po wydaniu jej przez Bandtkiego „w r. podobno 1827. 28. i po objaśnieniu owych powodów w tej „samej edycyi, w przypisku udzielonym przez Biskupa Prażmowskiego. Prawdziwie, dziwić się potrzeba śmiałości, z jaką Autor Tygodnika ogłasza wiadomości o dziele, którego nigdy niewidział, i występuje z rzeczą, której wcale nezna. Wydanie kroniki Marcina Galla przez Jana Wincentego Bandtkiego ogłoszone było nie w r. 1827 ani w r. 1828, ale z polecenia Towarzystwa Przyjaciół nauk, podług rękopismu darowanego Towarzystwu przez Kuropatnickiego przy pomocy Feliksa Bętkowskiego w r. 1824.

W wydaniu tém nie masz wyjaśniających powodów jak Tygodnik utrzymuje przez X. Biskupa Prażmowskiego, dla czego kronika Marcina przez siedm wieków ogłoszoną drukiem niebyła; ale jest przypisek (kar. 111. 112) mający na celu obronę S. Stanisława przeciw wyrażeniu się o nim Marcina. X. Biskup Prażmowski jeszcze przed Lelewelem pisał rozprawę o Kadłubku i Marcinie Gallu i czytał ją na posiedzeniu Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół nauk w Styczniu 1811 roku.

Już poprzednio były dwa drukowane łacińskie wydania kroniki Marcina, jedno przez Lengnicha w Gdańsku 1749 r. wydane, a drugie w zbiorze kronikarzy polskich Mitzlera de Kolof w 1769 r. wydanym w Lipsku; wytłumaczył i wydał Galla po polsku Hipolit Kownacki w r. 1821 pod tyt. Historya Bolesława III. Wszystko to zdaje się być zupełnie obcem dla Autora Tygodnika, a jednak występuje jako sędzia, i wyroki swoje drukiem ogłasza.

Nie przeczę że są ludzie wielkiej nauki, którzy księgi Mateuszowi przyznawane, za wyłączną własność autorską Kadłubka poczytują, ale ci niezebrawszy dostatecznych dowodów, nie śmieli jeszcze z poparciem swojej opinii publicznie wystąpić.

Ostatni t. j. 19. Tygodnik, ogłoszony w Nr. 111. Czasu z d. 17. Maja, zawiera wiadomość o Stanisławie Konarskim. Wiadomość ta pełna rażących błędów, nie tylko nieprzynosi sławy jednemu z najznakomitszych ludzi w Polsce, ale go owszem poniża i zniesławia. Tak naprzód powiada Autor, że „Konarski kształcił się w Nancy, „w słynnym tamże instytucie, założonym przez Króla Stanisława „Leszczyńskiego i uposażonym przez niego kilkunastą stypendyami „dla młodzieży Polskiej, że po skończeniu tam nauk, powrócił do „kraju, a powrócił w chwili, kiedy OO. Jezuici owładnąwszy edukacyą młodzieży, stali się panami na polu szkolnictwa i t. d.

Każdy wie, że nie dopiero w ten czas Jezuici zajmowali się

wychowaniem młodzieży w Polsce. Rownie oni, jak Pijerzy, jak inne zakony, jak Akademia krakowska mieli szkoły wzajemnie od siebie niezależłe. Nie było żadnej władzy czuwającej nad wychowaniem młodzieży prócz władzy Biskupów i to w rzeczach tylko duchownych. Pod względem nawet wewnętrznych urządzeń równie Jezuici jak Piarzy, na mocy Bull stolicy Świętej zostając pod władzą swoich Prowincyałów, byli z pod powagi Biskupów wyjęci (exempti). (D. n.)

Rozmaitość.

* Ci mieszczanie, którzy z powodu zanadto wesołego usposobienia kazali na wiwat strzelać w sobotę z moździerzów i zaalarmowali miasto całe, zapłacili kary policyjnej za to przekroczenie na ubogich sto złr. m. k.

* Wczoraj odjechał ze Lwowa spiewak opery nadwornej pan Steger. W ostatnich dwoch wystąpieniach obsypano go kwiatami i podano mu wieniec laurowy.

* W sobotę ma przybyć inny spiewak nadworny p. Beck. który w Lipsku a w przeszłym jeszcze tygodniu w Peszcie w gościnnych występował rolach.

* Z wszystkich stron dochodzą nas wiadomości o znacznych szkodach, które grady w polach zrządziły. Mianowicie z Żołkiewskim, w Samborskim od Komarna, w Stryjskim i Brzeżańskim szkody są bardzo znaczne.

* Do dzisiejszego Numeru dołączone są dwie ryciny mód, jedna przedstawiająca: 1. Ubiór od wyjścia. 2. Ubiór czternastoletniej panienki do bierzmowania, i 3. ubior sześcioletnej dziewczynki. Rycina druga przedstawia wzory pięciu kapeluszów, jednego czepka, dwóch półkoszulków, dwóch rękawków i jednego canzou.

Przyjechali od dnia 4. do 5. Czerwca do Lwowa.

PP. Łucki Adam, ze Sarny. Łoś Włodzimierz hr., z Dolżanki. Ozarowski Konstanty hr., ze Strzemilcz. Ohocki Józef, z Dobropola. Ohocki Wojciech, z Wierzbowiec. Kalinowski Władysław, z Rakowiec. Serwatowski Wojciech, z Brzeżan. Badeni Władysław hr., z Suraczkowa, Janowski Tytus, z Ostrowa.

PP. Łodyński Piotr, z Rusinowa. Strzelecki Eugeniusz, z Wyrowa. Małecki Kajetan, ze Skomoroch. Kunaszowski Domazy, z Perekosy. Kunaszowski Władysław, z Kutyszcza. Piniński Leonard z Rokietnicy. Głowacki Henryk, z Kozowki. Augustynowicz Seweryn, z Kniazego. Podlewski Alexander, z Dołhego. Komarnicki Bolesław, z Jakowiec. Grocholski Juliusz, z Medwedowiec. Kisckowski Józef i Waleryan, z Błazowa. Niezabitowski Napoleon, z Nakłowa. Stadnicki Edward, z Krysowiec.

Wyjechali od dnia 4. do 5. Czerwca ze Lwowa.

PP. Bogdanowicz Maxymilian, do Rusinowa. Papara Antoni, z Batiatyczy. Papara Henryk, do Zubowmostów. Badeni Alexander hr., do Brzeżan. Skrzyński Mieczysław; do Szelpak.

PP. Jaruntowski Jan, do Przemyśla. Woyna Ignacy, do Pietrzyc. Łukasiewicz Jan, do Zaleszcayk. Gostyński Staniław, do Strzelec. Osmulski Władysław, do Kuliczkowa. Barański Michał, do Radłowic. Jdzowicki Wenandy, z Kornalowic.

Kurs telegrafowany z Wiednia 6. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr. .	125 7/8	Pożyczka 5% 79 7/16 4 1/2	69
Hamburg za 100 tal. banco	91 3/4	Akcye banku	993
Londyn za 1 funt szterl.,	12 12	Kolej północna	1967 1/2
Medyolan za 300 lirów	125	Obl. ind.	70 1/2
Paryż za 300 franków .	146	Nowa pożyczka z loteryą	104 5/16
Agio duk. ces. . . .	30 7/8	Pożyczka narodowa . .	—

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówka towarem.

	Gotówka				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	49	złr.	5	kr.	52
Dukat cesarski	„	5	„	55	„	5	„	58
Półimperyał zł. rosyjski	„	10	„	7	„	10	„	11
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	57	„	1	„	58
Talar pruski	„	1	„	52	„	1	„	54
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	24	„	1	„	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	95	„	—	„	95	„	25
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		72	„	—	„	72	„	20
5 proc. pożyczka narodowa		84	„	20	„	85	„	10

Do dzisiejszego numeru dołączony jest dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

(84. 5)

Podpisana

REPREZENTACYA DLA GALICYI

ces. król. uprzywilejowanej Tryestińskiej

AZIENDA ASSICURATRICE

WE LWOWIE

zabezpiecza równie jak w zeszłym roku

SZKODY NA ZIEMIOPŁODACH

PRZEZ

GRADOBICIE

wyrządzone,

bezpośrednio w biórze przy ulicy Pojezuickiej, naprzeciw hotelu angielskiego pod liczbą 175 $^{2}/_{4}$, lub też przez ajentów na prowincyi, na podstawie funduszu towarzystwa t. j.:

Wypłacając zabezpieczonemu całkowitą szkodę zabezpieczoną.

Taż sama **Reprezentacya**, jakoteż jej **Ajenci** na prowincyi udzielają **Żądającym zabezpieczenia** potrzebne wyjaśnienia i blankiety do podań bezpłatnie.

Na listowne podania **Szanownych Stron** odpowiada **Reprezentacya** oznajmieniem premii, za której przesłaniem pod jej powyżej wyrażoną adresą udziela się zabezpieczenie od najbliższej 12tej godziny południowej **po odebraniu przesłanej premii.**

Listowne podania zawierać mają najprzód odpowiedź na następujące pytania w ogólności:

1) Nazwę miejsca, t. j. miasteczka lub wsi;
2) jak dawno zabezpieczenie Żądający w miejscu zamieszkały;
3) czyli można z **pewnością podać**, jak często wydarzały się w okręgu tego miejsca gradobicia, a przynajmniej, jak często w upłynionych ostatnich **osmiu latach;**
4) czyli sam poniósł w tymże miejscu szkodę;
5) czyli teraz mające się zabezpieczyć ziemiopłody nie zostały już gradobiciem, mrozami lub inuym sposobem uszkodzone.

Co do kawałków pól w szczególności:

1) Nazwę kawałka pola, na którym zabezpieczyć się mający gatunek ziemiopłodu, o ile ta nazwa znana jest zamieszkałym w miejscu, i opis granic tego pola, tak, ażeby niezachodziła żadna wątpliwość co do innych pól lub kawałków. Mały planik piórem — pojedyńczo zrobiony — może najlepiej zastąpić opis wiele czasu zabierający.
2) Ilość morgów i korcy wysiewu z oznaczeniem gatunku ziemiopłodu.
3) Wartość pieniężną spodziewanego zbioru w monecie konwencyjnej i w liczbach kończących się na nulę.

We Lwowie, w maju 1855.

1szy Sekretarz:
Leon Ostrowski.

2gi Sekretarz:
Konstanty Wodecki.